

Prolog — część pierwsza

Gdy dziewiętnastego marca podziwiał przelatujące nad torfowiskiem klucze żurawi, wydawało mu się, że wiosna eksploduje lada dzień. Ta jednak postanowiła kapryśnie zrobić dwa kroki wstecz i teraz, dokładnie tydzień później, Hubert patrzy, jak zaparkowane na szpitalnym parkingu samochody pokrywają się warstwą puchu białego jak welon panny młodej.

„Zmarzną tam, bidaki, na kość” — myśli, wspominając prognozę usłyszaną w Radiu Lublin kilka godzin wcześniej, w której zapowiadano mróz dochodzący nocą nawet do dziesięciu stopni. Kosmała nigdy nie był tak wielkim znawcą przyrody, jak Marek, ale zdaje sobie sprawę, że przybyłym po długiej podróży ptakom z pewnością takie temperatury nie są na rękę.

Zasepia się nad wątpliwą trafnością tego określenia i pozostaje bez ruchu przy oknie przez dłuższą chwilę, wgapiając się w sypiący śnieg i zapadający już powoli zmrok. W budynku szpitala przy alei Kraśnickiej w Lublinie jest tak cicho, że za plecami słyszy pluszczący takt odmierzanego kropłomierzem płynu. Jeszcze przed chwilą do jego uszu dobiegał od-

głos delikatnego pochrapywania. Odwraca się, zaniepokojony. Leżący na łóżku blade, wychudzony mężczyzna ze zdziwieniem przygląda się stojakowi z kroplówką, a potem kieruje wzrok w stronę Huberta. Na jego twarzy pojawia się delikatny uśmiech.

— Długo spałem? — pyta szeptem, odchrząkuje i natychmiast krzywi się z bólu. Odruchowo kładzie wolną rękę na klatce piersiowej.

— Napędziłeś nam wszystkim niezłego stracha — mówi Kosmała, ignorując pytanie. — Mam ochotę spuścić ci za to porządny łomot.

— Tylko spróbuj. — Marek uśmiecha się słabo i oddycha z takim trudem, jakby wypowiedzenie tych kilku słów było zdecydowanie ponad jego siły. Bierze kilka głębszych wdechów, jak długodystansowiec, który stara się wyregulować tętno po biegu.

— Spałeś bardzo długo. — Dopiero teraz Hubert odpowiada na pytanie. — Ale, jeśli mam być szczerzy, to nie wyglądasz na specjalnie wypoczętego. Chociaż bywało gorzej, na przykład po moim weselu. Z perspektywy czasu stwierdzam, że mogłem sobie znacznie lepiej dobrać świadka. Przynajmniej wstydu przed rodziną i znajomymi by nie...

— Odwal się, co? — Leśniewski z niedowierzaniem kręci głową. — W takiej chwili będziesz mi to wypominał? — Przymyka oczy, ale wciąż się uśmiecha. — Zresztą sam wyglądałeś wtedy jeszcze gorzej. A i u świeżo upieczonej teściowej chyba też nie zaplusowałeś, jak...

— Kurwa mać! Ledwie dycha, a jad i tak potrafi sączyć.

Marek znów patrzy na przyjaciela, a w jego oczach błyszczą iskiereczki rozbawienia.

— To przez ciebie — mówi.

— Co ty pieprzysz, stary? — zaperza się teatralnie Kosmała. — Co przeze mnie?! — Podnosi głos, udając gniew,

ale on też nie potrafi powstrzymać uśmiechu. — Wtedy, po oczepinach...

— Przez ciebie jeszcze dycham. — Marek przerywa i poważnie w ułamku sekundy. — Gdybyś wtedy, w Wyrębach, nie wspomniał o egzorcyście, to teraz byłoby już po mnie.

— Nie wiem, co mnie podkusiło — mruży Hubert, ale czuje, że wzruszenie chwyta go za gardło. Ucieka wzrokiem gdzieś w kąt, by nie dać po sobie tego poznać. — Zresztą wiesz przecież, że to niechcący..

— Nie szkodzi. Ważne, że byłeś wtedy ze mną, że chciałeś rozmawiać. Gdyby nie to... Gdybyś wtedy nie przyjechał, to... to teraz co najwyżej mógłbyś się powydziierać na moją płytę nagrobną.

— Zapomnij. W taką pogodę?

— Możesz sobie dowcipkować, ale ja mówię serio. Dziękuję ci, Hubert. Będziesz się jeszcze musiał ze mną trochę pomęczyc. A ja z tobą, no ale trudno. Uratowałeś to wszystko. Dzięki tobie wciąż będę mógł się cieszyć Wyrębami i to, o czym marzyłem, nie obróci się w niwecz. Nie dobiegnie końca tak szybko, jak się to zapowiadało.

— Mógłbyś już przestać? — Kosmała stara się brzmieć obojętnie, ale głos mu się łamie, gdy widzi łzy w oczach przyjaciela. — Nie dalej jak przed chwilą słowa nie mogłeś wyduścić, a teraz gadasz jak najęty.

Marek jeszcze przez chwilę mu się przygląda, a potem minimalnie przekręca głowę. Patrzy przed siebie spod w półprzykniętych powiek. Wygląda na spokojnego i szczęśliwego.

Hubert znów odwraca się w stronę okna.

„Mało brakowało” — myśli i mocno zaciska powieki.

Prawie nie może oddychać.

1.

Od północnego wschodu zbliżały się ciężkie, niepokojąco ciemne chmury, wyraźnie kontrastujące z beztroską atmosferą niedzielnego popołudnia.

Nabrzeże Zalewu Zemborzyckiego w Lublinie wibrowało od wesołych pisków kąpiących się dzieci, do których raz po raz dołączały pokrzykiwania grupy młodzieży, rozgrywającej kolejny tego dnia mecz siatkówki plażowej. Na lekko pomarszczonej tafli wody aż roiło się od kajaków i rowerów wodnych, a między nimi majestatycznie przesuwały się żaglówki, popychane przez delikatne, prawie niewyczuwalne poddmuchy wiatru.

„W Wyrębach już pewnie leje. Za godzinę nie będzie tu nawet żywej duszy. Musimy się zbierać” — pomyślał, a potem sięgnął po leżący obok koca obły kamyk i ze złością cisnął nim w zbudowany przez chłopców zamek z piasku. Jedna z misternie konstruowanych wieżyczek przestała istnieć.

— Możesz mi powiedzieć co robisz?

— Musimy się zbierać — odparł. — Za godzinę nie będzie tu nawet żywej duszy.

— Być może. Ale ja nie o to pytałam.

— Zrobisz mi teraz karczemną awanturę o rozwalenie wieżyczki? — Bardzo się starał, aby jego uśmiech wyglądał jak najbardziej naturalnie. — Ponieważ osobiście bardzo sobie tego nie życzę, więc natychmiast ruszam, by ją odbudować.

Próbował wstać z miejsca, lecz ona położyła dłoń na jego prawym przedramieniu. Delikatnie, a równocześnie stanowczo.

— To byłaby zbyt łagodna kara. Rozważam wniesienie pozwu rozwodowego, a to była naprawdę śliczna wieżyczka. — Jej twarz lekko się wypogodziła, ale oczy wciąż były pełne niepokoju.

— Ostrzegam, że znam świetnego prawnika. — Opuszczając palce lewej dłoni pogładził czule jej policzek. — Jest profesorem na UMCS-ie, więc jeszcze wszystko dokładnie przemyśl, bo może cię puścić w samych gatkach. — Teatralnie zmarszczył brwi i zlustrował jej ubrane tylko w strój kąpielowy ciało od stóp do głów. — Hm... a wiesz, że to może nie byłoby takie głupie?

Tym razem się roześmiała.

— Powiedz temu całemu profesorowi, że jak mi wreszcie nie powie, co od paru tygodni kłębi się pod tą jego rozkochaną łepetyną, to niech zapomni o takich widokach.

— Powiem mu i na pewno takie ostrzeżenie do niego trafi. — Mówiąc to, bezskutecznie starał się przygładzić niesforne włosy. — Nie jest przecież skończonym idiotą.

Pochylił się, pocałował żonę w usta, a potem na czwórka ruszył w stronę uszkodzonej budowli.

Dokładnie w chwili, gdy dotarł do piaskowego zamku, gdzieś z oddali dobiegł basowy pomruk pierwszego grzmotu.

* * *

Po raz pierwszy w tym roku dał się namówić na beztróskie spędzenie czasu z całą rodziną poza domem i zamierzał zrobić wszystko, żeby tego wypadu nie zepsuć. Przed wyjściem z domu Danusia prosiła, żeby wszystkie czarne myśli zostawił w czterech ścianach i chociaż na parę godzin znów stał się tym starym, dobrym Hubertem, za którym od pewnego czasu wraz z chłopcami tak bardzo tęsknili. Z ręką na sercu obiecał, że się postara. Ale nawet w taki jasny, upalny dzień gdzieś tuż pod skórą czaił się lodowaty niepokój, który wywoływał gęsią skórkę na całym ciele.

Dokopując się do chłodniejszej i bardziej wilgotnej warstwy piasku na plaży, poczuł, że pieką go opuszki palców. Ukradkiem spojrzął na Dankę, która obserwowała baraszkujące w płytkiej wodzie dzieci, a potem na swoje dłonie. Oblepiający je mokry piach był lekko zabarwiony na czerwono. Chwilę wcześniej Hubert zupełnie zatracił się w myśleniu o tym, jak bardzo nie chciałby martwić żony i że wciąż stara się trwać w postanowieniu, by nigdy jej nie oszukiwać. Jednak ostatnimi czasy przychodziło mu to z coraz większym trudem.

Zaczął formować nową wieżyczkę na miejscu zniszczonej i od razu wiedział, że nie będzie tak kształtna i dopracowana, jak ta, którą zburzył. Pomyślał o własnym małżeństwie. To, co stało się na początku tego roku w Wyrębach, było dla całej rodziny Kosmalów jak trzęsienie ziemi, ale mimo wszystko nic nie wskazywało na to, że mogą pojawić się wstrząsy wtórne, grożące budowli stawianej razem z Danusią od tylu lat. Ostatnio jednak budowla zaczynała się chwiać. Nie miał pojęcia, na ile wskutek jego błędów, a na ile w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Coś złego i niepokojąco mrocznego wpełzało do mieszkania Kosmalów, a ponieważ to właśnie za Hubertem się przywlekło, to tylko on mógł stać temu czemuś czoło.

Tak przynajmniej myślał.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby to zrobić, ale czuł, że jeszcze nie jest za późno. Że jeszcze można wszystko zabezpieczyć na tyle skutecznie, by później nie była konieczna odbudowa czegoś, co się zawaliło i co nigdy nie będzie już tak idealne, jak dawniej.

„Ciekawe jak to wszystko wyglądałoby teraz. Gdybym wtedy nie pojechał do Wyrębów...” — zadumał się, zdając sobie sprawę, że chciał jak najlepiej, ale być może trzeba było wtedy postąpić inaczej.

Chłodniejszy wiatr omiół jego spocone ciało. Hubert podniósł głowę i zauważył, że burzowe chmury są znacznie bliżej. Sosny po drugiej stronie zalewu poruszyły się powoli, tak jakby wielka niewidzialna ręka olbrzyma łagodnie pogładziła ich malachitowe korony; zaraz potem znieruchomiały w oczekiwaniu na kolejne pieszczoty.

Zmuszeni do przedwczesnego powrotu plażowicze niechętnie podążyli w stronę mariny. Kosmala wśród dziecięcego tłumu wypatrzył Michała i Tomka, próbujących teraz swoich sił w pływaniu pieskiem. Pierwszemu z bliźniaków wychodziło całkiem nieźle, ale drugi miał wyraźne problemy, aby utrzymać się na wodzie. Hubert już miał wstać, żeby do nich podejść, ale raz jeszcze popatrzył na zamek. Odbudowana wieża miała miejscami czerwonawy kolor. Sięgnął po garść żółtego piasku, by to zamaskować.

„Musimy się zbierać — pomyślał znów. — W Wyrębach już pewnie leje”.

Zanim sypiący się jak w klepsydrze żółty piasek skrył wieżyczkę, Hubert po raz kolejny był na torfowisku. Zadzierał głowę, obserwował klucze żurawi i wsłuchiwał się w klangor, który odbijał się żałobnym echem wśród niezmiętych polaci pojezierskich lasów.

2.

Ponownie obejrzał odcisnięte w warstewce świeżego śniegu ślady obok swoich butów, a następnie uważnie zlustrował wzrokiem najbliższą okolicę. Gdy siadał na ławce, przeszło mu przez myśl, że ktoś, kto był tu przed nim, nagle rozpląnął się w powietrzu. Teraz, gdy Hubert wstał i obszedł kilka razy dookoła zbudowane przez Marka zręby czatowni, uznał, że wszystko wskazuje na ten nieprawdopodobny scenariusz.

„Ludzie nie znikają” — pomyślał, a potem odkrył jeszcze jedną ewentualność. Mianowicie, że wcześniejszy gość odszedł stąd tyłem po swoich własnych śladach. To wyjaśnienie zadowoliło Huberta, chociaż i tak było dość zaskakujące. Przede wszystkim ze względu na to, co komendant Kościuk powiedział mu podczas ostatniego spotkania przed domem Marka w Wyrębach. Według jego relacji po znalezieniu szczątków Antoniego Jaszczuka na pobliskim starym cmentarzu okolicę ogarnęła panika i nikomu nie przychodziło nawet do głowy, aby zbliżyć się w te strony.

Kosmala po raz trzeci lub czwarty rzucił okiem na ślady, dzięki którym tutaj trafił.

— Nie dość, że dziwak, to jeszcze odważny — mruknął pod nosem, spoglądając na zegarek. Dochodziła czternasta, tak więc spędził na torfowisku ponad pół godziny. Miał przed sobą jakieś dwadzieścia pięć minut marszu i wszystko wskazywało na to, że wyjedzie z Wyrębów najpóźniej o wpół do trzeciej.

* * *